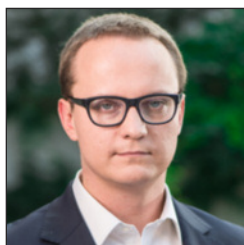


Polska w nowej Unii. Alternatywa dla polityki europejskiej PiS i PO potrzebna od zaraz



BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Dyrektor „Nowej Konfederacji”

Dawnej Unii już nie ma, a nowa po cichu przekształca się w rozpychające się megapaństwo. Jednak nawet w tych warunkach sensowna polityka unijna jest możliwa – i w zasadzie konieczna

Zastanawiając się nad miejscem Polski w zmieniającej się Europie, trudno dziś nie zacząć od kilku obserwacji banalnych, które jednak w naszych realiach intelektualnych mogą się okazać szokujące. Po pierwsze, dawnej Unii Europejskiej już nie ma, a ta obecna podlega dalszym, intensywnym zmianom. Po drugie, jej dotychczasowa i przyszła ewolucja jest jednym z najbardziej niezwykłych, zagadkowych – i problematycznych fenomenów politycznych. Po trzecie, oba główne pomysły na Polskę w UE, autorstwa dwóch głównych partii znad Wisły, zbankrutowały. Domaga się to pilnego wypracowania alternatywy. Także dlatego, że dzisiejsza UE jest znacznie trudniejszym dla Polski środowiskiem politycznym niż wczorajsza. I można się spodziewać, że jutrzejsza będzie trudniejszym od dzisiejszej.

Starej Unii już nie ma

Słuchając polskich „euroentuzjastów”, można odnieść wrażenie, że żyjemy wciąż w tej samej Unii, do której wchodziliśmy:

elitarnym, solidarnym i wręcz sielankowym klubie zgodnej współpracy ustawicznie rosnącego grona państw. W rzeczywistości, tamta UE skończyła się już kilka razy. Po raz pierwszy – już zaraz po akcesji Polski w grupie 10 państw, gdy postanowiono o rozłożonej wprowadzić na kilkanaście lat, ale zasadniczej zmianie nicejskiego systemu głosowania w Radzie UE. Stara metoda silnie dowartościowywała kraje średnie, dając np. Polsce i Hiszpanii tylko o 2 głosy mniej niż Niemcom czy Francji (27:29). Nowa ustanowiła system tzw. podwójnej większości, bardzo wzmacniający największych graczy. Wprowadziła także wraz z traktatem lizbońskim szereg innych ważnych zmian, takich jak rozszerzenie listy spraw głosowanych większością kwalifikowaną, czyli ograniczenie możliwości stosowania weta. Unia lizbońska okazała się ściślej zintegrowana i mocniej oparta o największe państwa, w szczególności Niemcy i Francję.

Drugi raz UE, do której wchodziliśmy, skończyła się wraz z kryzysem finansowym roku 2008 (w jego specyficznej europej-

skiej odsłonie), który wywołał reakcję w postaci nowej architektury instytucjonalno-regulacyjnej. Utworzono cały szereg nowych uregulowań, takich jak Europejski Mechanizm Stabilizacyjny, początkowo zdających się iść w stronę wzmocnienia państw kosztem instytucji unijnych, ale w niebagatelnej części – jak przy pakcie fiskalnym – zawierających znaczną ekspansję kompetencyjną tych ostatnich, obdarzonych teraz nowymi uprawnieniami nadzorczym i kontrolnymi.

Unię po kryzysie finansowym i migracyjnym cechował marazm, dziwnie łączący jednoczesną integrację i dezintegrację, oraz rosnąca złożoność, zza której coraz wyraźniej wyzierały kolejne konflikty i kryzysy

Wszystko to nie było jednak w stanie powstrzymać narastania marazmu i konfliktów, wyłaniających się zza coraz bardziej zawilego i nieczytelnego kształtu integracji europejskiej. Pisząc w 2017 r. dla „Nowej Konfederacji” [raport](#) o stanie Unii, prof. Bogdan Góralczyk wyliczał kolejne kryzysy ją trawiące: gospodarczy, polityczny, aksjologiczny, geopolityczny... Ich suma skłoniła autora do postawienia pytania o to, czy UE nie znajduje się na progu kryzysu egzystencjalnego. Z zagranicznych głosów warto może przypomnieć wcześniejszą o cztery lata [publikację](#) Na-

thalie Tocci i Giovanniego Falega „Towards a More United and Effective Europe: A Framework for Analysis”. Jej autorzy, mimo zauważalnego zakorzenienia w mainstreamowym europejskim optymizmie, po przeglądzie rozmaitych modeli integracji konkludowali, że rzeczywistość jest najbliższa integracji „wieloklastrowej” (*multiple clusters*). A więc wersji najbardziej rozmytej, z integracją jako rodzajem supermarketu, w którym każde państwo członkowskie wybiera sobie co chce. Krótko mówiąc, UE po kryzysie finansowym i migracyjnym cechował marazm, dziwnie łączący jednoczesną integrację i dezintegrację, oraz rosnąca złożoność, zza której coraz wyraźniej wyzierały kolejne konflikty i kryzysy.

Imperium na kolanach?

Do tego doszła zmiana geopolityczna, tym razem dotycząca nie podziałów wewnętrznych, a otoczenia Unii, ale zarazem samej jej istoty. Jest nią wyhamowanie procesu ekspansji UE. O ile w latach 1952-2007 miało miejsce pięć spektakularnych rozszerzeń, zwiększających liczbę członków z sześciu do dwudziestu siedmiu, i obejmujących z czasem większość kontynentu (z akcesją Bułgarii i Rumunii traktowaną jako dogrywka rozszerzenia z 2004 r.), o tyle w kolejnych 14. latach jedno państwo przystąpiło, a jedno wystąpiło. Pierwszym była maleńka Chorwacja, drugim – mocarstwowa Wielka Brytania, prawie 16 razy większa pod względem liczby ludności i ponad 50 razy w sensie gospodarczym. Popularność UE spadła nie tylko w krajach członkowskich, ale też w najbliższym otoczeniu geopolitycznym. Problemem jest dziś akcesja maleńkiej Macedonii Północnej, nikt już prawie nie mówi o rozszerzeniu o Turcję czy kraje Afryki Pół-

nocnej, co było nagminne jeszcze kilkanaście lat temu. UE poniosła porażkę w próbie przyciągnięcia Ukrainy, za co kraj ten zapłacił przegraną wojną, utratą bardzo ważnych części terytorium i poważnym kryzysem gospodarczym. Wykazuje też Bruksela nieskuteczność w oddziaływaniu na Białoruś i całych regionów Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej, będących źródłem licznych problemów, zwłaszcza migracyjnych. To skłoniło Jacka Bartosiaka do mocnej tezy: imperium europejskie jest na kolanach. W każdym razie geopolityczny rozmach unijnego przedsięwzięcia radykalnie zmalał, i jest dziś bladym cieniem tego co pamiętamy z lat 90. i kolejnej dekady. Skądinąd, mocą samej swojej logiki, niepowodzenia zewnętrzne rodzą pokusę zwrócenia się do wewnątrz w poszukiwaniu przewag – a więc wzrostu eksploatacji słabych przez silnych w obrębie Unii. Wydaje się, że widzimy już co najmniej sygnały tego procesu na różnych przykładach – czy to dyrektywy o pracownikach delegowanych, czy europejskiej polityki klimatycznej.

Skoro zaś o imperium europejskim mowa: UE pozostaje hybrydą, bardzo specyficzną mieszaniną konfederacji i federacji, organizacji międzynarodowej i państwa. Niespotykaną nigdzie indziej ani w dzisiejszym świecie, ani nigdy w historii politycznej. Pojęcie „imperium” (używane m.in. przez byłego szefa Komisji Europejskiej José Barroso) wydaje się całkiem dobre do jej opisu. Pośród nierzadko spotykanymi zachwytemi nad tą formułą, warto pamiętać o jej eksperymentalności. I o tym, że na razie nikt jej na świecie nie naśladuje.

Wiąże się z tym zasadniczy dylemat i problem konstrukcyjno-strukturalny: UE osłabia członkowskie państwa narodowe, nie oferując zarazem jasnej alter-

natywy. Nie budując państwa narodowego na poziomie kontynentalnym. Historycznie rzecz biorąc, imperia cechowała bardzo różną trwałość. Państwo narodowe osiągnęło zaś wielki historyczny sukces, przeszło próbę kilkuset lat trwania i – mimo mnożących się w ostatnich dekadach wyzwani i trudności – pozostaje głównym aktorem stosunków międzynarodowych. Ten triumf nowoczesnego państwa narodowego odbył się kosztem innych form politycznej organizacji, w tym imperiów. Być może UE zmieni to na Starym Kontynencie, można jednak wysunąć silne argumenty przeciwko takiemu przekonaniu. To osobna historia. W każdym razie jednym z podstawowych problemów Unii jest ustawienie się na kolizyjnym w znacznym stopniu kursie z europejskimi państwami narodowymi. Przy czym po jednej stronie mamy eksperymentalną i hybrydową organizację, po drugiej: liczące setki lat tradycje narodowe o jasnych tożsamościach i sprawdzonych metodach rozwiązywania problemów. Fakt, że rozwój tej pierwszej odbywa się w pewnym sensie kosztem tych drugich, a jednocześnie wszelki renesans nacjonalizmów jest dla niej (w każdym razie w oczach dominujących obecnie w Unii elit) zagrożeniem – czyni integrację europejską procesem bardziej podatnym na wstrząsy. Bardziej kruchym.

Przewrót po cichu

Liderzy UE przez dobrych kilka lat debatowali, co począć z powyższymi problemami marazmu oraz narastających konfliktów i kryzysów. Szczególnie płodna była pod tym względem poprzednia (2014-19) kadencja Parlamentu i Komisji. Liczne powstałe wtedy koncepcje i plany można podzielić na dwie główne grupy. W pierwszej znalazły się odważne wizje znacznie

głębszej integracji o licznych znamionach federalizacji, czyli stworzenia europejskiego państwa, a przynajmniej kolejnych jego fundamentów. Celowali w nich zwłaszcza prezydent Francji Emmanuel Macron i Komisja Europejska pod przewodnictwem Jeana-Claude'a Junckera. Drugą grupą to pomysły dużo bardziej powściągliwej, stopniowej i ewolucyjnej integracji, przedstawiane przede wszystkim przez Niemcy Angeli Merkel, a wspierane m.in. przez Donalda Tuska jako przewodniczącego Rady Europejskiej. Koncepcje quasi-federalistyczne nigdy nie wygrały: nie zostały oficjalnie przyjęte jako obowiązujące, a szereg prób ich częściowej realizacji został zablokowany lub okrojony nie do poznania (jak budżet strefy euro), głównie przez Berlin. Jednak to nie jest cała historia.

W serii dokumentów Komisji Europejskiej z 2017 roku zawarte zostały tak szczegółowe pomysły, jak i – przede wszystkim – pewien polityczny koncept i sposób myślenia, które wtedy nie spotkały się z większą debatą, a teraz zdają się być obecne w integracyjnej praktyce. Otóż roztrząsano wtedy możliwość bardzo daleko idącej harmonizacji polityk w takich obszarach jak podatki dla firm, zasiłki, prawo pracy, standardy działania administracji. Miałyby ona nastąpić w gronie państw strefy euro z opcją przystąpienia dla pozostałych. Był to – jak słusznie pisał Jan Rokita – de facto projekt nowej unii, powołanej na bazie obszaru obowiązywania wspólnej waluty, ze starą strukturą pozostawioną do stopniowego, naturalnego obumarcia bez jej formalnej likwidacji. Co szczególnie interesujące, autorzy całkiem jasno artykułowali, że planowany faktyczny przewrót ustrojowy w UE wymaga zmian traktatowych – i to bardzo głębokich. Stwierdzali jednak, że

w razie dość prawdopodobnej niemożności ich przeprowadzenia (w wysoce nieprzewidywalnym i wywrotnym, jak wiemy, procesie uzyskania zgody wszystkich krajów), reformy te miałyby się odbyć... bez zmiany traktatów. Tak po prostu. Faktyczny nowy porządek polityczno-konstytucyjny w Europie wprowadzony po cichu, bez większej debaty i bez pytania narodów o zdanie.

W ostatnich latach TSUE sam ustanawia się w roli unijnego sądu konstytucyjnego, do czego nigdy nie został uprawniony przez państwa członkowskie

To daje pewne wyobrażenie o specyficznej mentalności elit brukselskich współrządzających dziś Unią. Mimo nieprzyjęcia nigdy wspomnianych dokumentów jako obowiązującej strategii, warto o nich przypomnieć właśnie z tego względu. Jak również dlatego, że ów szczególny duch gabinetowego przełomu ustrojowego zdaje się być wciąż obecny w praktyce integracji – i mieć coraz bardziej namacalne skutki.

Dochodzimy to momentu, w którym Unia, do której wchodziliśmy, kończy się niejako po raz trzeci. Sygnalizowaliśmy już na tych łamach problem cichej federalizacji Europy mającej miejsce w ostatnim czasie. Niepostrzeżenie, postępuje szereg procesów tworzących kolejne zręby kontynentalnego megapaństwa. Uwspólnotowanie długów w reakcji na pandemię

COVID-19, mimo swego ograniczonego i warunkowego charakteru, ma także wymiar ustrojowego przełomu. Ma ją również próba budowy tzw. autonomii strategicznej. Oznaczającej przecież także dążenie do wspólnej, samodzielnej armii. Mimo całej niemrawości i ograniczoności tych zapędów, nie jest to w mojej opinii rzecz bagatelna, dotykając samych fundamentów polityczności państw członkowskich, jak i integrującej się UE. W jeszcze większym stopniu dotyczy to rozwoju unijnej polityki klimatycznej – ostatnio uosobianego przez propozycję „Fit for 55”, będącą przecież de facto federalną polityką energetyczną. Z kolei rodzaj przełamania opisywanego przez Góralczyka kryzysu aksjologicznego, jakim stało się doprecyzowanie praworządności jako europejskiej wartości kardynalnej wraz ze stworzeniem narzędzi (po części przy okazji uwspólnotowania długów) egzekucji standardów w tej dziedzinie – to kolejny element budowy paneuropejskiego porządku w dziedzinie prawa i ustroju.

W stronę federacji

O ile kwestie wspólnych długów i polityki klimatycznej są szeroko dyskutowane i przynajmniej częściowo poddawane narodowym ratyfikacjom, o tyle postępy integracji w dziedzinie wojskowości i praworządności mają już w dużo większym stopniu – w każdym razie w kluczowych szczegółach – charakter gabinetowo-eksperski. Całkowicie takim jest natomiast proces zmierzający do przełomu ustrojowego w dziedzinie supremacji prawa i europejskiego sądownictwa konstytucyjnego. Idea wyższości prawa wspólnotowego nad konstytucjami państw członkowskich była oczywiście obecna w myśli politycznej europejskich federalistów od dawna. Ale

jedynym momentem, w którym podjęto próbę pełnowymiarowego jej wcielenia w życie był europejski traktat konstytucyjny z 2004 r. Projekt upadł, odrzucony w referendum w rdzeniowych krajach UE: Francji i Holandii. Nigdy później narody Starego Kontynentu nie zgodziły się na taką regułę. A jednak ostatnio, przy okazji sporu warszawsko-brukselskiego o praworządność w Polsce, usłyszeliśmy m.in. od Komisji Europejskiej tezę o wyższości prawa unijnego nie tylko nad ustawami i aktami niższego rzędu, ale też – nad krajowymi konstytucjami. Problem na tym tle ma zresztą nie tylko Polska: by nie szukać daleko, sam nasz zachodni sąsiad ma sprawę przed Komisją Europejską w związku ze stwierdzeniem wyższości niemieckiej ustawy zasadniczej nad prawem unijnym przez tamtejszy sąd konstytucyjny. Ma więc miejsce próba cichego przewrotu ustrojowego, którego ewentualne powodzenie zredukowałoby narodowe konstytucje do rangi aktów pośrednich między krajowymi ustawami a traktatami europejskimi. Odebrany zostałby tym samym status najwyższego prawa, a do tej rangi jednocześnie podniesione byłyby traktaty unijne. To byłaby rewolucyjna zmiana i wielki krok w stronę europejskiej federacji. Nie towarzyszy temu żadna większa debata, jest to więc proces pozbawiony politycznej legitymizacji.

Podobnie ma się rzecz z ekspansją kompetencyjną Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. W ostatnich latach sam ustanawia się on w roli unijnego sądu konstytucyjnego, do czego nigdy nie został uprawniony przez państwa członkowskie. Wprawdzie idea ta była widoczna w myśli prawno-politycznej jego członków od dekad, a jej elementy pojawiały się w jego orzeczeniach równie dawno. Jednak dopiero w lutym 2018 r., orzekając w spra-

wie zarobków sędziów portugalskich, TSUE sam sobie przyznał prawo do oceny i kontroli wymiarów sprawiedliwości państw członkowskich, co rozwijał następnie w kolejnych postanowieniach. To na mocy tej zasady może dziś luksemburski trybunał kategorycznie wypowiadać się, postanawiać i karać Polskę w takich kwestiach jak status naszej Krajowej Rady Sądownictwa, status Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego czy uprawnienia sędziów sądów powszechnych. Niezależnie od tego, co myślimy o reformach wymiaru sprawiedliwości autorstwa PiS, jest to nowy element rzeczywistości europejskiej o charakterze fundamentalnym. To kolejny przełom ustrojowy (a w każdym razie próba jego dokonania) – również dokonujący się bez żadnej większej debaty i bez zgody narodów.

Również te dużo szerzej dyskutowane elementy znacznie głębszej integracji, o których mówiliśmy wcześniej, napotykają – poza kwestią długów – zasadniczy problem z legitymizacją. Skumulowane z pomniejszych kroków w czasie, a zwłaszcza razem wzięte, niewątpliwie budują kolejne zręby europejskiej federacji. Federacji, na którą nigdy nie zgodziły się narody Unii, bo nikt nie pytał ich nawet o zdanie. Zakulisowość i gabinetowość procesu o tak fundamentalnym charakterze skłania do mówienia o dziwnym momencie hamiltonowskim Europy. I każe pytać ponownie o zupełnie podstawowe sprawy związane z istotą i przyszłością integracji.

Odpowiedź na kryzys przywództwa

Wracając natomiast do ekspansji kompetencyjnej TSUE i sporu o supremację prawa – wpisują się one w szerszy trend wzrostu roli sędziów w Europie. To Jan

Rokita zauważył niedawno, że po próbie ustanowienia w Wielkiej Brytanii alternatywnej polityki zagranicznej, w Hiszpanii – ustanowienia się przy okazji pandemii w roli decydujących o stanie wyjątkowym, w Niemczech – modyfikacji polityki unijnej (z sukcesem), sędziowie zaczęli wykorzystywać nośność tematu ekologii do poszerzania swojej władzy („Chciwi na władzę. Historia czterech ekowyroków”, „Sieci” nr 23/2021). Oto

Widać w Europie rosnącą rolę sędziów, rozpychających się kompetencyjne w różnych obszarach i na różnych szczeblach

sąd okręgowy w Hadze nakazał gigantowi paliwowemu Shell zmniejszenie – globalnej, nie tylko holenderskiej! – sprzedaży benzyny i gazu o około połowę. Znowuż niemiecki sąd konstytucyjny orzekł, że z trudem wypracowany konsensus ponadpartyjny co do osiągnięcia neutralności klimatycznej w roku 2050 (w Polsce i nie tylko uznawany często za wręcz drastyczny) jest nie dość ambitny i mobilizujący, z związku z czym musi zostać zmieniony. I tak dalej. Widać w Europie rosnącą rolę sędziów, rozpychających się kompetencyjne w różnych obszarach i na różnych szczeblach. Ma to swoje teoretyczne umocowanie w koncepcji „demokracji jurysdykcyjnej” Richarda Dworkina, ponownie zyskującej ostatnio na popularności.

Skąd ten zdumiewający fenomen? Moja hipoteza wyjaśniająca jest następująca: odpowiada za to kryzys przywództwa w Europie. I to podwójny. W najbardziej podstawowym sensie jest to kryzys przywództwa stricte politycznego: po porażce federalistycznych koncepcji Macrona i przy kunktatorskiej postawie Niemiec, w Unii nie wygrała żadna alternatywna wizja. Powstała więc swoista próżnia polityczna, w którą zaczęli wchodzić sędziowie. Zarówno ci działający na szczeblu europejskim, jak i orzekający na poziomie narodowym, razem tworzący swoistą korporacyjną międzynarodówkę.

Drugi wymiar tego kryzysu przywództwa ma charakter myślowy. Pośród niezliczonych koncepcji i strategii, dyskutowanych codziennie na licznych debatach poświęconych integracji europejskich, można zaobserwować z jednej strony niebywałą zawilóść i szczegółowość, ale z drugiej – brak pytań i kategorii zupełnie podstawowych. Na przykład: jak skutecznie zbudować federację. W tej paradoksalnej intelektualnej próżni niepostrzeżenie mogą robić karierę tak zdumiewające i niebezpieczne koncepty jak „demokracja jurysdykcyjna”, oznaczająca przecież ogromny transfer władzy w ręce grup nie podlegających żadnej kontroli lub co najwyżej poddanych kontroli bardzo ograniczonej. Wystarczy przecież sięgnąć choćby do klasycznej „Teorii demokracji” Giovanniego Sartoriego, by dostrzec, że nadmiar władzy w rękach sędziów może być jednym z najgorszych i najtrudniejszych do przełamania rodzajów tyranii.

Federalizacja może ponieść klęskę

W Polsce dość często można się spotkać z poglądem, że kierunek europejskiej integracji jest zasadniczo przesądzony: jest

nim jej liniowy rozwój w kierunku coraz ściślejszej unii z federalnym finałem. Jest to jakoby kwestią czasu i pewnych szczegółów taktycznych. Słuchając jednak zachodnioeuropejskich polityków i intelektualistów wypowiadających się na ten sam temat odnosi się wrażenie, że znaczna część polskich decydentów i liderów opinii ze zdumiewającą łatwością przeszła do porządku dziennego nad złożeniem polskiej suwerenności na ołtarzu zjednoczonej Europy. Jak i z podobną lekkością przyjęła za oczywisty sukces gigantycznego i piekielnie złożonego przedsięwzięcia o wysoce niepewnym i obciążonym wieloma fundamentalnymi dylematami charakterze.

Niezależnie od tego co sądzimy o idei europejskiego państwa federalnego, powinno być jasnym memento, że – patrząc z długiej perspektywy historycznej – wiele tego rodzaju przedsięwzięć zakończyło się klęską na różnych etapach przygotowania i realizacji. Wiele było też politycznych efemeryd, twórców dziwacznych i krótkotrwałych. Mówiąc krótko: tak jak nie ma żadnej prostej linearności w historii, tak nie ma nic oczywistego w marzeniach o Stanach Zjednoczonych Europy. Budowa kontynentalnej skali federacji czy imperium to olbrzymi wysiłek i diabelnie zawile równanie z bardzo wieloma niewiadomymi. Zresztą sama tylko historia integracji europejskiej dobrze zaświadcza o roli niepewności i zaskoczenia w planowaniu wielkich przedsięwzięć politycznych. Budowa kontynentalnego państwa może się więc udać, ale może też ponieść fiasko – obciążone w dodatku ogromnymi kosztami dla wszystkich zaangażowanych. W szczególności takie cechy (moim zdaniem: błędy) konstrukcyjne, jak osłabianie członkowskich państw narodowych bez jasnej alternatywy i prowadzenie federalizacji w zaciszu gabinetów – potęgują

ryzyko i czynią integrację europejską procesem wysoce wyrotnym, podatnym na załamanie. Bunt narodów przeciwko „kno-waniom eurokratów”, gdy dotrze do krajowych opinii publicznych skala zmian dokonanych gdzieś w brukselskich pokojach, przez nie do końca nawet wiadomo kogo – wydaje się już mający na horyzoncie. Kontynuacja tendencji dokonywania gabinetowych przełomów ustrojowych, dotyczących blisko pół miliarda ludzi, z pewnością to ryzyko zwiększy.

Skutki polityki PiS widzimy: to marginalizacja Polski w UE, a ostatnio – spozycjonowanie kraju jako europejskiego chłopca do bicia, zbierającego razy za wszystkich

Jednocześnie integracja europejska pozostaje ogromną wartością dla Polski. Tak ze względów geopolitycznych (pokój na kontynencie, spętanie Niemiec, unijna tarcza dla szeregu polskich interesów, podwyższenie statusu państwa na arenie międzynarodowej), jak i gospodarczych. Mamy jednak nową Unię, w której z jednej strony coraz więcej jest z koncertu mocarstw i egoizmów narodowych w wydaniu potęg zachodniej części kontynentu, z drugiej – coraz więcej władzy Brukseli kosztem suwerenności państw członkowskich. Wszystko w warunkach umierającego liberalnego porządku międzynarodowego i wszechstronnych turbulencji z tym związanych. A także ostrej i pogłębiającej się

polaryzacji dzielącej poszczególne społeczeństwa, ale przecież także Europę jako całość, z jej wciąż dominującymi głównym nurtem elit coraz bardziej lękającym się kolejnych fal kontestujących go „populistów”.

Fatalna polityka unijna PiS...

Oba główne modele polskiej polityki europejskiej rażą w tej sytuacji anachronizmem. Skutki polityki PiS widzimy: to marginalizacja Polski w UE, a ostatnio – po części za sprawą własnej nieudolności i awanturnictwa, po części w wyniku ze zderzenia z ekspansją kompetencyjną TSUE i KE – spozycjonowanie kraju jako europejskiego chłopca do bicia, zbierającego razy za wszystkich. To ostry konflikt z głównym nurtem europejskim i wzrost nastrojów eurosceptycznych w kraju, eskalowany przez PiS z braku lepszego pomysłu na rozwiązanie sporów z Brukselą. Wszystko w warunkach wyraźnego lekceważenia dyplomacji (jeśli nie pogardy dla niej) jako narzędzia politycznego, niskiej aktywności w polityce unijnej, skądinąd silnie zorientowanej na cele wyborczo-sondażowe, i polityki zagranicznej mocno skoncentrowanej na relacjach z administracją Donalda Trumpa. To ostatnie lewarowało także pozycję Polski w UE – do pewnego stopnia i do czasu. Skończyło się wraz ze zmianą lokatora Białego Domu. Po tym wydarzeniu PiS został ze słabą, obciążoną sporym bagażem konfliktów pozycją w Unii, bez efektywnych narzędzi ani programu odbudowy pozycji we Wspólnocie.

Znać tu również szerszy problem, odnoszący się do europarlamentarnej grupy Zjednoczonej Prawicy, czyli Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (EKR). Po brexicie i wyjściu brytyjskich torysów

uległa ona dalszej marginalizacji, ale może jeszcze ważniejsze jest co innego. Mianowicie, odwołując się do eurorealizmu, „Europy ojczyzn” i umiarkowania w integracji, formacja ta nie zdołała przez lata wypracować jasnej alternatywy dla unijnego mainstreamu, który kontestowała. Z czasem nabierała coraz bardziej eurosceptycznej treści. Symbolem EKR mogą być właśnie torysi pod przewodnictwem Davida Camerona, inicjującego ze względów wyborczo-marketingowych referendum ws. wyjścia z UE, a następnie padający ofiarą własnego kombinatorstwa, ze szkodą dla wszystkich. I z finałem w postaci wyjścia z Wielkiej Brytanii z Unii, a partii z grupy w europarlamencie, co poważnie ją osłabiło.

PiS jest w pewnym sensie podobny. Kontestuje główny nurt, ale własnej wizji nie przedstawia, bo jej nie ma. Jednocześnie zgadzając się (czynnie lub biernie) na kolejne postępy integracji, z całą wyżej opisywaną problematycznością kształtu, jaki przybiera ona w ostatnich latach, łącznie z uwspólnieniem długów, polityką klimatyczną czy unijnymi inicjatywami obronnymi. Gdy sprawy przybierają niekorzystny dla Polski obrót i zachodzą za daleko, by je odwrócić – ostro protestuje i „broni suwerenności”. To w dużej mierze publicystyka, nie polityka. W przyszłości – prawdopodobny materiał na dalszą eskalację konfliktów z europejskim głównym nurtem i dalszy wzrost eurosceptycyzmu w kraju.

...i pomysły opozycji

Główną alternatywą polityczną jest w naszym kraju centrolewicowa opozycja z PO na czele. Jedyną czytelną myślą co do Polski w UE jest w jej wydaniu odsunięcie PiS od władzy i powrót do „płynięcia w głównym nurcie polityki europejskiej”.

Do dyplomacji realizowanej w latach 2007-15. To w zasadzie jeszcze jedna wersja nostalgicznej publicystyki wzdychającej do przeszłości, do której nie ma powrotu. Niezależnie jak oceniać politykę unijną Polski w czasach rządów PO-PSL, tamtej UE, jak mówiliśmy, już nie ma. Powtarzanie haseł o trzymaniu się głównego nurtu można traktować albo jako czysty marketing polityczny, albo jako zapowiedź nadmiernej miękkości w myśleniu i działaniu. W nowych warunkach polska mainstreamowość musiałaby oznaczać zgodę na modyfikacje ustroju RP przez TSUE i KE, na protekcyjistyczne regulacje służące gospodarkom zachodnioeuropejskim, na potencjalnie niszczącą dla naszej energetyki politykę klimatyczną. Napotykałaby też ona na dość niebagatelny problem znalezienia desygnatu owego głównego nurtu. Czy jest on dziś w Brukseli, wraz z tą częścią elit, która z urzędowym hurraoptymizmem realizuje federalistyczne pomysły bez pytania narodów o zdanie? Czy w Berlinie, blokującym najbardziej ambitne projekty integracyjne i forsującym na każdym kroku swoje interesy narodowe? Może w Paryżu, zabiegającym o sfederalizowane w oparciu o wąskie grono państw „twarde jądro” w unii wielu prędkości, a swoją drogą również wysuwającym na pierwszy plan francuską rację stanu, nietożsamą przecież z niemiecką? Powrót do głównego nurtu unijnego to nie plan, a zakłęcie. Podszycie, oprócz oczywistego motywu walki o władzę, brakiem realnej wizji, ogromną dawką euronaiwności i tęsknoty za bezpowrotnie minioną przeszłością. Oraz, chwilami, działaniem wbrew oczywistym interesom Polski, jak w sytuacji wsparcia dla odebrania krajowi funduszy z programu gospodarczej odbudowy po kryzysie związanym z pandemią.

Jedynie wyjście: euroaktywizm

Tym dwóm szkodliwym anachronizmom warto przeciwstawić euroaktywizm. Wychodzący od afirmacji integracji, ale z pozycji realistycznych. A więc rozumiejący, że UE jest nie tylko platformą współpracy, ale też areną walki kilkudziesięciu egoizmów narodowych. Z potrzebą efektywnego odnalezienia się w obu wymiarach unijnego życia. Widzący korzyści z dalszej integracji, ale też zagrożenia z prowadzenia jej w tak arbitralny i gabinetowy sposób, jaki w ostatnich latach możemy zaobserwować. Wychodzący z pozycji narodowej dumy, ale i zrozumienia, że w realiach coraz bardziej anarchicznego świata z pierwszoplanową rolą takich kolosów jak Chiny i Stany Zjednoczone, europejska „jedność w różnorodności” jest po prostu konieczną ochroną przed degradacją. A także wyborem cywilizacyjnym – na rzecz europejskiej wersji cywilizacji zachodniej. Pojmującym, że owa jedność w różnorodności raz dana – w postaci UE, ze wszystkimi jej wadami i zaletami – wymaga pielęgnacji. Ale też oswojenia i opanowania: tak mentalnego, jak i w codziennej, żmudnej pracy politycznej, intelektualnej i urzędniczej.

To ostatnie jest szczególnie mało efektywne i trudno sprzedawalne wyborczo, ale niezbędne, jeśli Polska nie ma wciąż przegrywać kolejnych unijnych sporów, ciągle zaskoczona pojawiającymi się w Brukseli pomysłami i projektami. Z elitami wiecznie lamentującymi (względnie udającymi, że nic się nie stało) po szkodzie. Po raz kolejny wracamy więc do pilnej konieczności nadrobienia największego zaniechania ostatnich 30. – a w pewnym sensie ostatnich kilkuset – lat: budowy sprawnego, nowoczesnego państwa. Tak w sensie instytucjonalnym, kadrowym,

jak i wspólnotowym. Skuteczna polityka w Unii zwyczajnie nie może się bez niego obyć, od poziomu wspólnej detekcji szans i zagrożeń, poprzez sztab kompetentnych analityków i urzędników, aż po efektywne horyzontalne planowanie, koordynację i ewaluację polityk.

Jedyną czytelną myślą co do Polski w UE w wydaniu opozycji centrolewicowej jest odsunięcie PiS od władzy i powrót do „płynięcia w głównym nurcie polityki europejskiej”

Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, aby dla euroaktywizmu istniała sensowna alternatywa. W każdym razie nie dopóki UE istnieje, a Polska pozostaje jej członkiem. Niezależnie od tego, która partia rządzi, główne problemy pozostają te same. Polska jest jednocześnie jednym z największym beneficjentów, rozszerzenia i jednym z krajów najwięcej tracących na nowych trendach w Unii. Jest zbyt mała, by grać w jednej lidze z Niemcami i Francją, i zbyt duża, by tylko odbierać polecenia z Brukseli. Nie dysponuje naturalną siecią sojuszy umożliwiającą tworzenie mniejszości blokującej, a w wielu sprawach bardzo jej potrzebuje. Skala wyzwań dalece przekracza zdolności jej elity politycznej w obecnym kształcie – i szybko rośnie. I można by tak dłużej.

Patrząc na chłodno, Polska nie wydaje się mieć innego wyjścia niż prowadzenie bardzo aktywnej polityki unijnej. Oparta

na perspektywie szkolonej i zarządzanej profesjonalnej kadrze, wielowariantowym planowaniu, maksymalizacji zdolności koalicyjnych, wielopłaszczyznowym i wieloetapowym lobbingu swoich interesów narodowych. Na podejściu proaktywnym i antycypacyjnym. To warunki banalne – wszystkie poważne państwa spełniają je od dawna. A jednocześnie trudne w polskich warunkach politycznych i intelektualnych. Nie ma jednak powodu, by myśleć o nich jako o niewykonalnych. Są w zasadzie koniecznością: tylko po ich spełnieniu Polska może naprawdę wygrać swoją przyszłość w Unii. Nieprzypadkowo zresztą, jak sędzę, w niedawnym przemówieniu premiera Morawieckiego w PE wyraźnie pobrzmiwał właśnie euroaktywizm. Podobnie ostatnie lata rządów PO cechowało stopniowe nasycanie ideami

euroaktywistycznymi, kosztem bezrefleksyjnego euroentuzjazmu.

Jest o co walczyć. Polska ma w UE do odegrania cały szereg ważnych ról. Po pierwsze, rolę moderatora, a nawet współkreatora systemu europejskiego, a nie tylko jego odbiorcy. Po drugie, rolę hamulcowego szkodliwych zapędów części elit unijnych, grożących wywróceniem części lub całości integracji. Po trzecie, rolę współtwórcy alternatywnej wizji rozwoju Unii. Po czwarte, rolę rzecznika interesów Europy Środkowo-Wschodniej. Po piątą, rolę państwa frontowego, strzegącego granic Unii i należycie to dyskontującego. Znów: to tylko kilka przykładów.

Krótko mówiąc: Polskę w Unii Europejskiej trzeba wymyślić na nowo. I euroaktywizm jest tu najlepszą – i w zasadzie konieczną – ramą myślenia i działania.